Rolnicy polscy, mali i wielcy — łączcie się!

Rok II. Kraków, dnia 15. Listopada 1908 r. Nr. 46.



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKOW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie **2** korony. Do Ameryki **2** dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do p. Bolesława Jankowskiego w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Co Sejm zrobił dla nas rolników?

Przed tygodniem skończyła się pierwsza sesya nowego Sejmu. Skończyła się odroczeniem, więc prace zaczęte i wnioski postawione nie spadają z porządku, lecz będą mogły być przedmiotem obrad i uchwał Sejmu, gdy w przyszłym roku dalszy ciąg obrad nastąpi.

A wniosków tych przez posłów wniesionych jest moc wielka. Są między nimi i takie, co już więcej światła dziennego nie ujrzą, i Sejm całkiem się nimi nie będzie zajmował, albo dlatego, że niemądre, albo też że niewykonalne.

Jest też sporo takich, co mają tylko lokalne znaczenie, n. p. budowa nowej drogi, nowego mostu, regulacya jakiejś rzeczki. Tymi wnioskami zajmie się Sejm o ile Wydział krajowy uzna, że sprawa i ze względu na pożytek publiczny i na stan **skarbu krajowego, może być pomyślnie załatwioną.**

Jest jednak i kilka wniosków takich, które ze względu na swe ogromne znaczenie i doniosłość, muszą być przedmiotem długich i pracowitych badań ze strony Wydziału krajowego i rządu, co do których trzeba się porozumiewać ciągle ze stronnictwami sejmowemi, by za ich zgodą i porozumieniem można było ułożyć taki projekt ustawy, który by większość w Sejmie mógł uzyskać.

Tu należą wnioski o zmianę sejmowego prawa wyborczego i o reformę gminną przez połączenie obszarów dworskich z gminami.

O **reformę wyborczą**

postawiono w Sejmie kilka wniosków i przedłożono kilka gotowych projektów ustawy. Ale o ile wszystkie stronnictwa, wszyscy posłowie niemal godzą się na to, że prawo wyborcze musi być nadanem wszystkim tym, co go dotychczas nie mają, mimo, że przy wyborach do Rady państwa już głosują, o tyle nie ma jeszcze zgody co do szczegółów, nie ma

jeszcze porozumienia w jaki sposób to rozszerzenie prawa wyborczego ma nastąpić.

A że załatwienie sprawy reformy wyborczej wymaga zgody wszystkich stronnictw, bo zwykły komplet i zwykła większość tu do uchwały nie wystarczy, więc może parę lat jeszcze upłynie, nim ta upragniona zgoda stronnictw nastąpić będzie mogła.

Łatwiej i prędzej z pewnością doczeka się załatwienia wniosek posła Bojki

o reformę gminną.

Tu już zwykła większość wystarczy, a że wszyscy konserwatyści z zachodniej części kraju i wszyscy posłowie stronnictwa ludowego zgodni są już w tem, że nowa ustawa gminna musi połączyć gminy i obszary dworskie w ten sposób, by wytworzyć silne i zdolne do spełniania swych zadań gminy, i by przez to istotna poprawa rządów gminnych mogła nastąpić, niewątpliwie więc oba oba te stronnictwa zajmą się wypracowaniem projektu ustawy i uzyskania dlań większości w Sejmie.

Jest też nadzieja, że już w najbliższej sesyi sejmowej doniosła ta sprawa będzie mogła być ku zadowoleniu rolników i pożytkowi kraju załatwioną.

W poruszanej tylekrotnie w *Roli* sprawie

zawodowej organizacyi rolników

nie postawiono w Sejmie wniosku. Nie postawiono go dla tego, że sprawa ta była przedmiotem długich narad i układów między małymi a wielkimi rolnikami jeszcze przed Sejmem. Rokowania te doprowadziły do wielkiego zbliżenia, nie doprowadziły jednak jeszcze do zupełnej zgody.

Że jednak nadzieja porozumienia się obu stronnict rolniczych w tej ważnej sprawie jest coraz większa, więc postanowiono nie stawiać wniosku dopóki to zupełne porozumienie się nie nastąpi.

Tyle o nadziejach i projektach na przyszłość. Co się tyczy teraźniejszości i tych spraw, które Sejm w tej sesyi już załatwił, to żniwo dla nas rolników jakieś jest, ale nie bardzo obfite.

Mimo wielkiej bardzo i wytężającej pracy Sejmu, przygotowano tylko dużo, ale zrobiono dla nas rolników i dla kraju nie tak wiele.

Bo w pierwszej po nowych wyborach sesyi, gdzie organizacya stronnictw sejmowych, organizacya komisyi, rozdział pracy, a wreszcie poznanie się wzajemne i wyrozumienie zasad i dążeń wszystkich stronnictw, zabrało wiele czasu, trudno było zrobić więcej!

Sejm uchwalił dwa budżety, podwyższył znacznie w tych budżetach

wydatki na cele rolnictwa,

wyznaczył wyższe subwencye dla Towarzystwa Kółek rolniczych, uchwalił większą niż dotąd pomoc na drenowanie gruntów, w ten sposób, że przy drenowaniach podjętych w obrębie gmin katastralnych będzie można otrzymać pomoc kraju i państwa w takiej wysokości, że rolnik tylko trzecią część kosztu gotówką lub robocizną pokryje.

Dalej wyznaczył Sejm znaczne fundusze na pomoc dla dotkniętych tegoroczną klęską rolników i na naprawę dróg przez długotrwałe deszcze i burze uszkodzonych. Wyznaczył wreszcie miljonowy fundusz na pomoc pożyczkową dla rolników.

Wreszcie nakazał Sejm Bankowi krajowemu, by obficiej niż dotąd zaspokajał potrzeby kredytowe małych rolników, chłopów, przez rozszerzenie działu pożyczek hipotecznych włościańskich i reorganizacyę pośredniczących w udzielaniu tych pożyczek zastępstw Banku.

Prócz tych ważniejszych i ogólniejszego znaczenia zarządzeń, dla pomocy i podniesienia rolnictwa i rolników w całym kraju, załatwił też Sejm całe mnóstwo drobnych miejscowego znaczenia spraw,

dla podniesienia rolników

w poszczególnych powiatach i gminach bardzo ważnych. Tu należą przyznane większe zasiłki pieniężne na budowę nowych dróg i mostów, na budowy szkół, na regulacyę rzeczek i potoków, oraz rozmaite roboty melioracyjne. Od rządu zażądał zaś Sejm założenia całego szeregu nowych starostw, nowych sądów powiatowych i obwodowych, by i administracya dla dobra rolników mogła być lepszą i by po wymiar sprawiedliwości nie potrzebowali rolnicy zbyt daleko chodzić i zbyt wiele czasu tracić!

By zaś wszelkie powody nieufności do rządów krajowych wśród ludności włościańskiej raz na zawsze usunąć, uchwalił Sejm powołać do najważniejszych komisyj sejmowych i do zarządów najważniejszych krajowych instytucyi

reprezentantów małych rolników,

nierzadko chłopów wprost od pługa do Sejmu wybranych.

W komisyach sejmowych przyznano stronnictwu ludowemu silną reprezentacyę, po 3, 4 do 5 członków.

Prezesem najważniejszej w Sejmie komisyi gminnej został znany w całej Polsce poseł Jakób Bojko, który też przez cały czas Sejmu, bardzo dobrze tę komisyę prowadził i z godnością wielką zasiadającym w niej hrabiom, excelencyom i innym panom przewodniczył.

Do Wydziału krajowego, czyli stałego zarządu krajowego wybrał Sejm wyznaczonego przez stronnictwo ludowe posła Bernadzikowskiego.

W ten sposób będzie miało stronnictwo ludowe możność wływu na wykonywanie ustaw, na krajową gospodarkę pieniężną, na zarząd wszystkich krajowych instytucyi i na wypracowywanie mających się przedkładać Sejmowi projektów ustaw.

Do stałej komisyi dla włości rentowych, czyli do zarządu tej instytucyi wybrał Sejm jednomyślnie zdolnego i wymownego małego rolnika z pod Tarnowa posła Witosa. Do Rady nadzorczej Banku krajowego wybrano małego rolnika z pod Wadowic posła Sredniawskiego.

Co do działalności ustawodawczej Sejmu to oprócz szeregu lokalnego znaczenia ustaw, oraz takich, które interesów wiejskich dotyczą, uchwalono w interesie małych rolników

zmianę ustawy budowlanej

w myśl życzeń i z poprawkami posłów stronnictwa ludowego. O ustawie tej, gdy uzyska sankcyę cesarską napiszemy później obszernie.

Dalej uchwalono mającą obok wielkiej wartości dla rolników także ogólno krajowe znaczenie

nową ustawę łowiecką.

O ustawie łowieckiej pisaliśmy już niejednokrotnie w *Roli*. Wiadomo już naszym Czytelnikom, że uchwalona w zeszłym roku ustawa łowiecka, nie

otrzymała zatwierdzenia cesarskiego dlatego, że przestrzeń okręgów polowań oznaczono w niej zbyt nisko, oraz dlatego, że przez przyjęcie w Sejmie poprawek ludowców odnoszących się do lokalnych spółek łowieckich, powstały w ustawie pewne sprzeczności i bałamuctwa.

W uchwalonej w tym roku nowej ustawie usunięto już te wszystkie sprzeczności. Postanowienia o obowiązkach wynagrodzenia szkód przez zwierzynę i polowanie zrządzonych zostawiono bez zmiany tak, jak je w zeszłym roku wprowadził pos. Hupka.

W postanowieniach zaś o okręgach polowania i o wykonywaniu polowania przyjęto na wniosek posła Skołyszewskiego urządzenia spółek łowieckich. Będzie to urządzone w ten sposób, że w każdej gminie wybiorą właściciele gruntów w gminie położonych Wydział spółki łowieckiej złożony z 5 osób na lat sześć. Wydział ten będzie okręgiem polowania spółki zarządzał i wolno mu będzie albo polowanie w gminie, czy przez licytacyę, czy z wolnej ręki wydzierżawić, albo też pod pewnemi warunkami wykonywanie polowania ustanowionym do tego myśliwym powierzyć.

I to jest główna nowość, jaką do uchwalonej w tym roku ustawy wprowadzono.

Gdy ta nowa ustawa łowiecka będzie przez cesarza zatwierdzoną, co zapewne jeszcze przed nowym rokiem nastąpi, to napiszemy o niej raz jeszcze z wyjaśnieniem jej przepisów, by rolnicy wiedzieli jak płynące dla nich z ustawy korzyści jaknajlepiej wyzyskać.

Wreszcie uchwalił Sejm zmianę niektórych postanowień Statutu krajowego w tym kierunku, by nikt już nigdy nie mógł zaprzeczać Sejmowi prawa wydawania ustaw w sprawach kultury krajowej oraz wprowadzenia odrębnego ustawodawstwa agrarnego.

I jest nadzieja, że Sejm niebawem na drogę tak potrzebnych dla rolników

wielkich reform agrarnych

wejdzie i że obok organizacyi zawodowej rolników zajmie się także zmianą prawa spadkowego dla rolników, oraz uporządkowaniem stosunków rolnych przez odpowiednią zmianę ustawy o komasacyi gruntów i przez wydanie tak administracyjnie koniecznej ustawy o minimalnej szerokości parcel gruntowych.

Ale to wszystko jest jeszcze w przyszłości wprowadzona jednak zmiana statutu krajowego jest przygotowaniem i oznaką, że Sejm na tę drogę przy zgodnem współdziałaniu obu stronnictw rolniczych wejść pragnie.

Na tem zamykamy krótki przegląd tych prac, których już Sejm dla dobra rolników dokonał. Mamy wszelką nadzieję, że z następnych sesyi sejmowych doczekamy się my rolnicy znacznie jeszcze obfitszego żniwa.

Gwarancyą, że tak będzie, jest nam niezakłócona niczem ani razu w czasie całej dwumiesięcznej sesyi

zgoda między małymi a wielkimi rolnikami

między posłami polskiego stronnictwa ludowego, a tymi posłami, którzy do stronnictwa Prawicy narodowej należą.

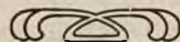
Posłowie obu stronnictw rolniczych szli przez cały czas sesyi razem, w każdej sprawie się porozumiewali i gotowości do ustępstw nigdy nie brakło.

I choć ta zgoda i porozumienie wielkich i małych rolników z zachodniej części kraju była solą w oku niektórym demokratom miejskim, a niepodobała się też i niektórym wielkim rolnikom ze wschodniej Galicyi, to jednak demokraci nie zdołają, a posłowie wschodniogalicyjscy po dojrzalszej rozwadze nie będą chcieli z pewnością zgody tej zakłócać.

Demokraci miejscy wiedzą chyba, że źle by z nimi było, gdyby wysuwając interesa miejskie przeciw rolniczym, zjednoczyli przeciw sobie wszystkich rolników, bo narazili by przez to interesa swych wyborców, którzyby się potem do nich tyłem odwrócili. Rolnicy zaś podolscy zrozumieją również, że nasz kraj rolniczy staje się coraz więcej chłopskim krajem i że w swej obronie przeciw Rusinom muszą szukać poparcia u polskiego ludu. Im trwalszą zaś będzie zgoda rolnicza w zachodniej części kraju, tem większą będzie siła żywiołu polskiego, tem większą ta siła, ną której oprzeć się będą mogli w chwilach ciężkich ci, co mają dość odwagi by ważnych polskich posterunków na Rusi nie opuszczać, w ręce żydów ani Rusinów nie wydawać; lecz pozostać nadal tem czem Bóg i historya być im kazały: twierdzami polskości, przewodnikami ludu polskiego osiadłego wśród Rusinów.

A dla interesu narodowego, dla wzmożenia siły społecznej żywiołu polskiego warto przecie poświęcić coś ze swych uprzedzeń, coś ze swych przyzwyczajeń, coś nawet że swych dochodów.

Nie dziwilibyśmy się, gdyby tego niezrozumieli dezerterzy, co majątki swe na Rusi żydom wydzierżawiają, a sami siedzą bezpiecznie w mieście. Ale takich na szczęście nie wielu. Większość rozumie swoje obowiązki jako Polaków, zrozumie też niewątpliwie potrzebę trwałej zgody i porozumienia z polskim chłopem i konieczność przeprowadzenia choć z ofiarami pieniężnemi tych zmian i reform których chłopi polscy żądają, zwłaszcza gdy reformy te i dla kraju jako całości będą pożyteczne.



Czego nam potrzeba?

VII. Sprawy różne.

W poprzednich artykułach poruszałem różne sprawy, których ulepszenie przyczyniłoby się do wzmożenia dobrobytu szerokich warstw rolniczych. Ale nie trzeba nam zapominać i o stanowisku społecznem rolnika, szczególniej małego rolnika-chłopa. I on, jak inne klasy społeczne, jest obywatelem kraju, służy krajowi i społeczeństwu, więc zasługuje od tego społeczeństwa na należny szacunek. Ale czy tak jest?

Oczywiście ludzie rozumni oddają chłopu taki sam szacunek, jak i innym ludziom, lecz ileż razy zdarza się, że to jakiś tam gryzipiórko chłopa traktuje, jak pastucha? A co dopiero mówić o rozmaitych handlarzach i kupcach po miastach! Świadczy to przedewszystkiem o złem wychowaniu takiego pana, ale i rolnik nie powinien lekceważyć swojej osoby. Jeżeli więc kochany czytelniku kto ci ubliża niewłaściwem traktowaniem, trzeba mu to wytknąć spokojnie lecz stanowczo, aby go nauczyć grzeczności. Rzecz to drobna, ale na stanowisko

chłopa bardzo wpływająca. Szanujmy drugich, ale i sobą pomiatać nie dajmy!

Dzisiejszym artykułem chciałbym kochani czytelnicy, zakończyć moją pogadankę z wami. Pozwolicie jednak, że jeszcze poruszę niektóre sprawy.

Do spraw piekących i ciążących nad głową włościanina, zaliczyć należy wszystkie egzekucye sądowe. Wiadomo wam dobrze, że za dług n. p. 100 koron sąd może sprzedać ci cały grunt na licytacyi. Otóż żądać trzeba tego, aby za długi przyznane wyrokiem sądowym, tylko część gruntu sprzedać było wolno, z sprzedaży której byłaby pokryta tylko dłużna kwota i narosłe kszta.

Do rzeczy rujnujących wiele ludzi, robiących z zamożnych — żebraków — należy loterya liczbowa. Wprawdzie nie bardzo mi tam żal tych, którzy na loteryi majątki tracą. Niechby nie byli głupcami, toby majątku nie tracili; niechby szukali szczęścia w pracy a nie w loteryi. Ale i dziecko, nie mające rozumu, chronimy nieraz przed nieszczęściem; i dziecku wyrywamy płonącą głownię, gdy się nią chce bawić, dlatego też powinniśmy starać się także, aby ci głupcy loteryjni nie popadali przez swą głupotę w ogromne nieszczęście. Wskutek tego powinniśmy się domagać stanowczo zniesienia loteryi liczbowej.

A teraz na koniec, czego nam jeszcze potrzeba?

Oto potrzeba nam, abyśmy się czuli dobrymi katolikami i dobrymi Polakami. Powinniśmy precz odrzucać ludzi, którzy chcą nam wydrzeć wiarę wyssaną z piersi matek, którzy coraz bardziej zaczynają się zbliżać do chat wieśniaczych z jadem zgnilizny i niewiary... Powinniśmy czuć się dobrymi Polakami, dziećmi tej jednej wielkiej Ojczyzny, która choć obecnie rozszarpana, ale nie mniej droga i kochana być powinna! Lecz niestety! Ileż to razy zdarzy się, gdy zapytasz brata twego, czem jest, nie wie lub bałamuci, a dopiero braci z Królestwa nazywa Polakami. Ileż to szczególniej wojskowych, mówi tylko o tem, że jest „dzieckiem cesarskiem“ — a nie wie, że jest Polakiem, że jest synem tej biednej rozszarpanej Ojczyzny — Polski? Iluż o tem nawet nie wie, jak Prusacy prześladują naszych braci w Poznańskiem, ale kupuje towary pruskie, a gdy złapie kilka słów niemieckiej mowy, szczyci się niemi wśród swej braci.

Trzeba nam więc koniecznie i to prędko poczucia, czem jesteśmy pod względem społecznym i narodowym. Poznajmy raz nareszcie, żeśmy Polakami i choć tu dzielą nas nieraz zapatrywania polityczne, wobec obcych powinniśmy iść murem, jak jeden mąż.

W pracy zgodnej a wytrwałej zdobędziemy dla siebie i dzieci naszych jaśniejszą przyszłość, co daj Boże jak najprędzej.

Antoni St. Bassara.

Co słychać w Polsce?

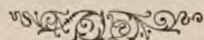
Pod Prusakiem nowe prześladowania. Wiadomo, że niedawno uchwalił parlament berliński taką ustawę o stowarzyszeniach i zgromadzeniach publicznych, która pozwala mówić po polsku na zgromadzeniach tylko tam, gdzie Polacy stanowią więcej niż połowę ludności — i to tylko na lat dwadzieścia. Potem nie będzie wolno nigdzie obradować po polsku. Barbarzyńskiemu temu zakazowi przeciwstawili Polacy taką taktykę:

W miejscowościach, gdzie nie wolno po polsku wiecować, zwołuje się wielkie zebranie.. n i e m e! Na sali massa Polaków, lecz nic żaden nie mówi. Wszyscy patrzą w milczeniu na tablicę, gdzie wywieszono wielkiemi literami wypisane rezolucye: „Protestujemy przeciw pogwałceniu naszych praw narodowych, uchwalamy jednogłośnie uczyć dzieci po polsku, pracować nad oświatą, starać się wszystkiemi siłami pomagać nieszczęśliwej Ojczyźnie itd.“. Wszyscy czytają sobie długo te rezolucye, potem na znak przewodniczącego klaskają w ręce, aby pokazać, że przyjmują swe uchwały przez aklamacyę. Na tem kończy się zgromadzenie, któremu policya nic nie może zrobić, nie może go rozpędzić, skoro nikt po polsku nie mówi. Ustawa wyraźnie przepisuje, że p r z e m a w i a ć po polsku nie wolno. No, to też nikt nie przemawia!

Łatwo sobie wyobrazić wściekłość Prusaków. „Taką ustawę wymyśliliśmy, aby tym szelmom Polakom za skórę sadła dobrze nalać!... A teraz oni nas za łeb wzięli!“. Bo swymi niemymi wiecami Polacy wykazują, że niema takiej ustawy, któraby, jeżeli jest niesprawiedliwą, nie obróciła się przeciw tym, co ją pisali. Ustawa językowa była obliczona na gnębienie Polaków. Otóż Polacy nie tylko pracują po dawnemu nad oświatą i zamiast po wiecach, agitują z ust do ust — ale jeszcze ośmieszyli ustawę, urządzając nieme wiece.

Swoją drogą ucisk pruski stwarza sytuacye trudne do wiary. Oto np. w Poznaniu dwaj doróżkarze spotykają księdza z Panem Bogiem. Przystają i zdejmują czapki, przyklękając na kozłach. Tymczasem istnieje przepis, że doróżkarzom czapki zdejmować nie wolno, gdy jadą ulicą. Policyant pruski zobaczył tę cześć Polaków dla Przenajświętszego Sakramentu i uśmiechnął się: Czekajcie, dam ja wam kłaniać się księdzu! Zanotował numera ich doróżek i podał na policyę, gdzie ich ukarano i powiedziano im, że że czapki nigdy zdejmować nie wolno. — Jak to, wszak szedł ksiądz z Panem Bogiem? — pytają zdumieni Polacy. — Nie wolno i koniec! — krzyknął Prusak. I tak biedni dorożkarze zostali ukarani za to, że spełnili obowiązek katolików.

Źle musi być z państwem, gdzie takie rzeczy się dzieją. Zgorszenie i obraza Boska jeszcze nigdy i żadnemu społeczeństwu na dobre nie wyszły.



Co słychać w kraju?

Sejm skończył swe obrady w czwartek ubiegły. Na innem miejscu podajemy obszerne streszczenie wszystkiego, co Sejm zrobił dla nas, rolników. Słusznie jednak zauważył już dawniej pos. Witos, że gadatliwość posłów i stawianie przez nich wniosków kupami nie wyjdzie na dobre Sejmowi. Wiele czasu straciło się przez te poselskie zabawki, miejmy nadzieje, że gaduły wynagrodzą to na przyszły raz zdwojoną pracą.

Ze Sejmu należy jeszcze dodać, że uchwalił on w ostatnich dniach ustawę o „Wielkim Krakowie“. Idzie w niej o połączenie gmin wiejskich, leżących

pod Krakowem, z tem miastem. Mogłoby to być bardzo dobre, lecz nie wiadomo, jaki skutek będzie miało w rękach obecnego zarządu miasta Krakowa, któremu przewodniczy były Stańczyk, a dziś demokrata miejski, p. Leo. Gospodarka miejska pod nim odznacza się tem głównie, że długi miasta rosną w zastraszający sposób, a budżet wykazuje stałe niedobory. Rolnicy i małomieszczanie podkrakowscy zgodzili się na przyłączenie do Krakowa w myśli, że może będzie im lepiej. Oby tego nie pożałowali, gdy spadną im na kark wysokie podatki i różne niedogodności.

Uchwalenie Wielkiego Krakowa zakończyło się w samym Krakowie trochę humorystycznie, a trochę smutno. P. Leo chciał skorzystać z tej sposobności i urządzić sobie małą reklamę. Zausznicy jego i przyjaciele musieli też przygotowywać pochód z pochodniami przed jego mieszkanie. Ale pochód fatalnie się nie udał. Nikt nie chciał brać w nim udziału, byli prawie sami strażacy ochotniczy, którym powtykano pochodnie, trochę radców miejskich, i jak zwykle trochę gawiedzi, co pobiegła za pochodniami. P. Leo wyszedł na balkon swego mieszkania i właśnie miał wyciąć mówkę do owych strażaków, niby to do ludu, gdy nagle rozległ się straszny huk i szyby w domach runęły z brzękiem na ziemię. W ulicy stał ze swym przyrządem fotograf, który był zamówiony, aby odfotografować p. Leo stojącego na balkonie, lecz było już ciemno, trzeba było fotografować przy sztucznem świetle. Fotograf zapalił tzw. światło magnezyowe, lecz uczynił to niezręcznie, tak, że nastąpił wybuch. Wśród popłochu myślano, że to kto bombę rzucił. Nikt jednak nie został raniony, tylko na p. Leo spadł kawałek szyby z okna i drasnął go w czoło.

Najsmutniejsze to to, że wybuch zrządził znaczne szkody w kościele OO. Franciszkanów, naprzeciw którego leży mieszkanie prezydenta. W kościele tym znajdują się cudne okna ze szkła kolorowego, dzieło słynnego malarza i poety Wyspiańskiego, autora „Wesela". Otóż te okna zostały tak wstrząśnięte wybuchem, że dwa z nich potrzaskały się w znacznej części, jedno zaś poniosło mniejsze uszkodzenia. Teraz będzie je trzeba naprawiać wielkim kosztem. Trzeba zaś wiedzieć, że te okna były wielkiem dziełem sztuki i z daleka zjeżdżali się ludzie, aby je podziwiać.

Tak to śmiesznie ale i smutnie zarazem skończyła się ta reklamowa szopka. Wielki Kraków został rozpoczęty pod nie bardzo dobrą wróżbą.



Wobec nagłych mrozów.

Ciężki i pełen przykrych niespodzianek jest rok bieżący. Ciągłe słoty nie tylko porobiły straszne spustoszenia w zbożach i innych roślinach, lecz prócz tego opóźniły znacznie żniwa, a za niemi i wszelkie inne roboty w gospodarstwie. Nie zdążył gospodarz wykopać ziemniaków i buraków, aż tu mróz się zwalił. Czyż znowu więc klęska?

Zapewne, że patrząc na przykryte śniegiem zagony ziemniaków, niejeden pomyślał: już z nich nic nie będzie!

Na szczęście, tak źle chyba nie jest. Mróz bywał w nocy niemały, ale ziemia nie przemarzła, bo ją śnieg przykrył. A więc i ziemniaki, czy też buraki lub inne niewykopane okopowe mogły zmarznąć tylko o tyle, o ile leżały na wierzchu. Z drugiej strony trzeba mieć nadzieję, że nastanie jeszcze przed zimą czas cieplejszy, który pozwoli na zebranie okopowych.

Na razie więc o klęsce niema jeszcze mowy, ale szkoda jest, boć zawsze pewna ilość kłębów zmarzła. Zadaniem więc rolnika będzie tak postępować, by tę szkodę zmniejszyć, a przynajmniej jej nie powiększyć.

Przy zbiorze ziemniaków należy bardzo uważać, aby kłęby zmarznięte nie zamieszały się ze zdrowymi. Każdy dobrze rozumie, jaka szkoda mogłaby z tego wyniknąć. Kłąb zmarznięty zaczyna w kopcu lub piwnicy gnić bardzo szybko, zarażając sąsiednie ziemniaki zdrowe. Gnicie rozszerza się coraz dalej tak, że może nawet cały kopiec pójść na marne. A więc przy kopaniu ziemniaków każdy robotnik powinien mieć dwa kosze, do jednego wrzucać ziemniaki zdrowe, do drugiego zmarznięte. Albo też, co lepiej, trzeba dawać na dwóch robotników trzy kosze: do jednego pójdą ziemniaki zdrowe duże, do drugiego zdrowe małe, a do trzeciego zmarznięte. Zresztą jeżeli jest zmarzniętych niewielę, to można przywiesić sobie z przodu fartuch z worka i weń je zbierać.

Wyrzucać ziemniaków zmarzniętych tak, jak zgniłych, nie należy, gdyż można jeszcze z nich mieć pewien pożytek. Oczywiście będą one zupełnie na nic, jeżeli nadgniją w polu przed zbiorem, wtedy trzeba je wyrzucać. Ale tak przeważnie nie będzie, gdyż topniejący śnieg utrzyma w ziemi zimno, tak, że nie będą one mogły gnić, a tylko staną się miękkie, rozmarzłe. Takie rozmiękłe ziemniaki trzeba więc zbierać osobno, i jeżeli jest ich nie wiele, zaraz gotować dla świń i dla bydła. Niegotowanych dawać nie można, gdyż mogłyby zaszkodzić zwierzętom naszym.

W razie zebrania większych ilości ziemniaków zmarzniętych, tak, że już spaść ich nie dałoby się prędko, wypadnie pomyśleć o zrobieniu z nich kiszonki na zimę. Kiszonkę, jak wiadomo, zwykle robi się z roślin mięsistych, n. p. z liści buraczanych, z końskiego zębu itp. Taką samą kiszonkę można zrobić ze zmarzniętych ziemniaków. Kopie się więc w miejscu suchym dół, odpowiedniej do ilości ziemniaków wielkości, a głęboki na jakie trzy ćwierci metra; wysypuje się spód sieczką, a na wierzch daje się posiekane ziemniaki, ubijając je bardzo dokładnie i przesypujęc sieczką. Zapełnia się w ten sposób dół aż do góry, usypując jeszcze z wierzchu mały kopczyk z tych samych ziemniaków z sieczką, poczem przykrywa się go grubo ziemią i ubija się ją. Gdy ziemia ta po paru dniach zacznie osiadać i pękać, trzeba ją znowu ubić. Najważniejszą rzeczą jest w tym wypadku, jak i przy innych kiszonkach, dokładne ubicie całej masy kiszonki, by nigdzie w niej nie zostało powietrza, od którego zaczyna się pleśnienie i gnicie. Po jakich sześciu tygodniach kiszonka jest gotowa do użycia.

Tak należy postąpić, gdzie niema innego materyału na kiszonkę, oprócz zmarzniętych ziemniaków. Jeżeli gospodarz ma jednak inny materyał zdatny na to pod ręką, np. liście buraczane lub kapu-

sty, tylko nie zgniłe po mrozach obecnych, nać marchwi, wreszcie koński ząb, to kiszonkę trzeba robić z tych wszystkich materyałów pomieszanych ze sobą. Koński ząb trzeba koniecznie porznąć na dość długą sieczkę. Nie należy żałować w tym wypadku sieczkarni, a jeżeli komu bardzo jej szkoda, to niech potnie koński ząb w inny jaki sposób. — Całych badyli tej rośliny do kiszonki w żaden sposób dawać nie można, bo wszystko spleśnieje i zgnije.

Posiekane ziemniaki dodajemy do takiej mieszaniny, albo też posypując je co pewien czas cienkiemi warstwami w dole.

W razie podmarznięcia buraków lub marchwi, postępujemy tak samo, jak z ziemniakami, spasając je w stanie zgotowanym, albo dodając je do kiszonki.

Przy przechowaniu buraków i marchwi, tak samo jak przy przechowaniu ziemniaków, trzeba

W płomieniach.



Fatalna ucieczka. (Patrz „Nasze ryciny“).

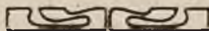
uważać bardzo, by zmarznięty burak lub marchew nie dostały się do zdrowych, bo wszystkie zdrowe zarazić zgnilizną potratią.

Jeżeli są podmarznięte głowy buraków, to trzeba je ścinać i spasać zgotowane, a pozostałe zdrowe części buraka przechować w piwnicy zimnej na najbliższy użytek.

Mrozy i śniegi obecnie przeszkodziły gospodarzowi także w orkach jesiennych. Byłaby to wielka strata, gdyby z tej racyi znaczna część pól została nie poorana. Jeżeli tylko więc śnieg zejdzie trzeba co rychlej zabrać się do orki. Choćby nawet za mokro trochę było, odstraszać się tem nie trzeba, bo przed zimą lepiej jest zorać nawet cokolwiek na mokro, niż wcale nie orać.

Z. L.

(„Przew. Kół. roln.“)



Z pracy dla ludu.

(*Obrazek i uwagi*).

Na plebanii parafii X., w niezbyt wykwintnie umeblowanym pokoju, siedzi przy biurku, na którem leży pełno porozrzucanych książek i gazet, młody księżyna i duma. Oczy wzniósł w górę i utkwił w obraz Ukrzyżowanego, a z piersi jego dobywają się częste, głębokie westchnienia.

Niedawno, bo parę tygodni temu, jak na miejsce zmarłego ś. p. X. B. wyznaczono mu tutaj placówkę. Zaledwie miał czas rozglądnąć się trochę — i widzi przed sobą, o zgrozo! całe pola swojej pracy porosłe ogromnymi ostami, widzi owieczki swoje, nurzające się w bagnie pijaństwa i występków, widzi, że im doskwiera głód i nędza, a nieomal ostatnią koszulę ściąga z nich lichwiarz żyd. Westchnienia jego stają się coraz częstsze, a z ócz potoczył mu się potok perlistych łez. Nagle jakby pod tchnięciem różdżki czarodziejskiej, twarz jego rozpromieniała radością. rzucił się na kolana przed obrazem Ukrzyżowanego, wzniósł ręce do góry, a z piersi jego wydobył się błagalny głos: „Zmiłuj się Jezus i daj, abym z Twoją pomocą mógł tę wioskę odmienić!“

Jeszcze tych słów nie skończył, gdy do drzwi zastukał ktoś i do pokoju wszedł chłopina nędznie ubrany, a pochwaliwszy Boga i pocałowawszy w rękę księdza, w te odezwał się słowa:

— Jegomościu, mojej się zmarło dzisiaj i chciałbym jej przyzwoity pogrzeb sprawić, to też pożyczyłem sobie u Mośka 60 koron i prosiłbym, aby za nie jegomość ją pochowali.

— Bójcie się Boga Wojciechu, to wy za pożyczane pieniądze chcielibyście tak wykwintny pogrzeb, który dla duszy waszej nieboszczki nic nie będzie pomocny, wyprawić, — to grzech! Idźcie i oddajcie żydowi te 60 koron nazad, a ja za 10 koron, które jak się kiedy zapomożecie, to mi zapłacicie, wyprawię należyty pogrzeb nieboszczce.

Podrapał się chłop po głowie, bo nijak nie mogło mu się pomieścić, dlaczego ten jegomość gardzi tak pieniądzmi, — poszedł jednak i zrobił jak mu kazał.

Zaledwie jednak drzwi się za nim zaparły, do pokoju weszła niemłoda już, bo około 40 lat licząca kobieta, a kładąc dwie korony na biurku, powiada:

— Niech ta jegomość będą łaskawi odprawić mszę świętą za naszą chudobę, bo mleko nam się ogromnie psuje, a żadne lekarstwa nic nie pomagają.

— Hm, a jakich lekarstw używaliście moi kochani — pyta ksiądz.

— Wszystkich, jakich tylko kto porail. Znosiłam wodę z siedmiu kościołów i to w jednej flaszce pod progiem zakopałam, ale gdy to nie pomagało, tak mój tę flaszkę za 6 miesięcy odkopał, ale, jegomościu, co tam w niej nie było!...

— A co? — pyta ksiądz.

— Djabeł się ulągł w postaci węża, korek wysadził, wodę wypił i tylko sam tam siedział — powiada kobieta.

— I coście z nim zrobili — zagadnął ksiądz.

— A dyć mój go zabił — prawi kobieta — chociażem z płaczem żem go prosiła, aby tego

„biesa młodego" nie tykał i daleko od ścian wyrzucił.

— No, no, to nie był żaden djabeł — powiada ksiądz — ale wąż prawdziwy, tutejszy, ziemski, który, gdy się woda wylała, obrał sobie flaszkę na siedlisko. Ale dalej cóżeście robili?

— Dalej — ciągnęła kobieta — naraili mi, abym ze śmietany z tego mleka robiła masło, gdy sumę ksiądz w kościele odprawia, a gdy się suma kończy, bym je w chlebowym piecu spaliła, — próbowałam, ale i to nie pomogło.

— Kobieto — powiada ksiądz — tyś swoich krów nie leczyła, ale bawiłaś się w głupie bałwany. Idź do domu, ja tam przyjdę, zobaczę, zbadam przyczynę i za pomocą Bożą podam ci lekarstwo.

* * *

Śpieszy księżyna do zagrody Sobkowowej. Drogi jednak jakoś mu niesporo ubywa. Co chwilę to przystaje, wywołuje po podwórzach bawiące się małe dzieci, a obdarzając je słodkimi karmelikami, obrazkami św., wypytuje o rodziców, o stosunki domowe.

— Mój tatuś — powiada jeden malec — są ogromnie chorzy.

— A moja mama — szepce drugi — czegoś się z ciotką pobili.

— A mój tatuś — odzywa się trzeci — przepili ostatnią ćwierć żyta u Mośka, a my z mamą jesteśmy tacy głodni.

A ksiądz głaszcząc wszystkich po ich jasnych główkach, powiada:

— Ty mały, zaprowadzisz mię do domu, gdzie twój tatuś leży, a ty powiesz mamusi i ciotce, aby za pół godziny czekały mię tutaj obie, a ty znów — zwracając się do ostatniego — masz koronę, którą oddaj matce, niech wam chleba kupi, a gdy się ojciec wytrzeźwi, powiedz, że ja go prosiłem bardzo, aby do mnie na plebanię przyszedł.

— — — — — — — — — — — —

W niskiej, od starości pochyłej chatynie, leży na łóżku młody gazda Bartłomiej i stęka ogromnie, bo go też w piersiach i podboczu strasznie kłuje.

— Pojechał do lasu i tam go coś tak chwyciło — ej, Boże drogi! co ja biedna poradzę — lamentuje, łamiąc ręce, Bartłomiejowa.

— To nic innego, moja kumo — powiada jedna z przybyłych w odwiedziny, na wieść o chorobie Bartłomieja, sąsiadek — tylko uroki, które trzaby im natychmiast odmówić, bo inaczej to po nich.

— A kiedy ja nie wiem, jak się to odmawia — ale wy kumosieńku wiecie, to mu też odmówcie.

Nie dając się dwa razy prosić, wzięła kobieta miskę z szafy, nalała wody, postawiła na środku izby, uklękła, a odmówiwszy „Anioł pański", rozpoczęła właściwe zaklęcia:

> „Uroku, skądeś się wziął? Jeżeli z chłopa, idź pod czapkę, jeżeli z baby, idź pod czepiec, jeżeli z panny, idź pod splotki, a jeżeli z wiatru, idź na suche korzenie, gdzie nie chodzi żadne stworzenie".

Wtem drzwi się otwarły, a do izby wszedł ksiądz, prowadząc za rękę małego chłopczynę Bartłomiejów. Zmieszana kobieta postawiła szybko miskę pod ławą, a i sama usiadła, gdy ksiądz kroczył het prosto do łoża chorego.

— Dowiedziałem się Bartłomieju od waszego synka, że jesteście poważnie chorzy i przychodzę was odwiedzić — mówi ksiądz.

— A tak jegomościu — całując rękę księdza, podaną na powitanie, powiada cichym głosem chory — pojechałem po drzewo, zgrzałem się bardzo, później ochłódłem, ale zaczęło mię w piersiach i podboczu ogromnie kłuć. Kobiety mówią, że to uroki, odmówiły mi je nawet, ale to nic nie pomogło..

— Bartłomieju! — przerywa mu ksiądz — wy nie uroki, bo te wcale nie istnieją, ale zapalenie macie. Każcie zatem czemprędzej jechać po doktora, a tymczasem niechaj wasi utrą gorczycy, zarobią na wpół z mąką pszeniczną i placek z tego przyłożą wam na miejsca bolące.

Chłop usłuchał, posłał po doktora i był uratowany.

— — — — — — — — — — — —

Na drodze stoją zdala od siebie dwie kobiety, wyzywając się wzajemnie.

W chmurach.



Podróż napowietrzna. (Patrz „Nasze ryciny").

— Chodźcie bliżej obie — woła nadchodzący kapłan — i czemuż się tak kłócicie?

— A bo ona mi kurę, co wlazła do jej ogródka, zabiła — skarży się jedna.

— A bo gdym poszła do niej, aby sobie świnie pilnowała, aby mi ziemniaków nie ryły, to ona mię jeszcze miotłą obiła — apeluje druga.

— Pogódźcie się! — rzecze kapłan — tutaj zaraz wobec mnie przeproście się.

Kobiety zerkały na się z boku, a gdy ksiądz począł coraz lepiej nalegać i do serca przemawiać, rozczuliły się i z płaczem rzuciły się na znak zgody w objęcia.

Już i słońce chyliło się ku zachodowi, gdy niestrudzony kapłan przybył do zagrody Sobkowej.

Ucieszeni gospodarze w ten mig wskazali mu swoje krówki, ale on tem się nie ukontentował, chciał zobaczyć wszystko. Musieli zatem zaprowadzić go do stajni, musieli pokazać, jaką karmą żywią swoje bydełko, musiała gospodyni — czego się nie spodziewała — pokazać skopiec, do którego

krówki swoje doi i garnki, w których się mleko podstawa, a po przeglądnięciu wszystkiego, w te odezwał się słowa:

— Powiadaliście u mnie, że mleko niewiadomo dlaczego się wam psuje; otóż widzicie, że przyczyną tego wszystkiego było wasze niechlujstwo. Używaliście różnych głupich, zabobonnych sposobów a nie wymyliście sobie skopca, w którym pełno nasiąkłego z dawna i zakwaśniałego mleka, pełno nagromadziło się brudu. Zróbcieno tak, a będziecie widzieli, że wam się wszystko odmieni, jak przyjdę do was tutaj za tydzień w odwiedziny, to mi podziękujecie. Widzę, że i siano liche, marne. Sebastyanie, same psianki i turzyce, a mając łąki własne, moglibyście przecież mieć i siano lepsze.

— A jakto, proszę jegomości — pyta.

— Przyjdźcie do mnie na plebanię, ja wam dam dwa woreczki popiołu, który, zbronowawszy wpierw dobrze łąkę, rozsiejecie; na przyszły rok, jeżeli się wam na zasianym kawałku łąki trawa poprawi, to mi parę koron za ten popiół zwrócicie, a jeżeli nie, to i mnie nie będziecie nic winni.

* * *

Nie wiele, bo zaledwie cztery lata upłynęło od czasu, kiedy X. S. objął parafię, a jednak wszystko się w niej do niepoznania zmieniło. W miejsce dawnej starej karczmy, stojącej blisko kościoła, a sławnej z wielkich bijatyk, stanęła piękna, murowana szkoła, a w miejscu sześciu innych śliczne figury Matki Boskiej. Dziś jest tutaj w parafii kilka dobrze rozwijających się sklepików Kółka rolniczego, jest kasa Raifejzenowska, a świeżo nawet zawiązano spółkę melioracyjną.

Żyda nie znalazłbyś tu ani na lekarstwo, bo dzielny ksiądz przez swoją pracę tak im grunt podkopał, że wszyscy co do jednego wynieść się musieli. Dziś w wiosce kwitnie dobrobyt, a lud kocha swojego proboszcza, zapobiegliwego opiekuna tak, jak dobre dzieci kochają swojego ojca, jak kwiatek rosy perełki.

* * *

Oto jeden obrazek z życia jednego z księży-dzialaczy, tych cichych, ale niestety nielicznych pracowników na niwie ludowej. Powiadam nielicznych, bo tych, co przez pracę swoją dla ludu wysunęli się na czoło, można na palcach policzyć.

A czemuż to tak jest, a nie inaczej?

„Wprawdzie obowiązki ściśle zawodowe duchowieństwa“ — jak słusznie powiada jeden z naszych wybitnych publicystów, p. Bujak (Ekonomista 1907, m. 1) — „są bardzo rozległe z powodu rozmiarów parafii, zwłaszcza rzymsko-katolickich (przeciętnie 1800 dusz, a w Galicyi wschodniej nawet przeszło 3700 dusz — parafie grecko-katolickie są znacznie mniejsze), jednakże na taką działalność ma ona dosyć czasu. Łączy go bowiem z ludem miejsce stałego pobytu, bliski stosunek osobisty, tudzież pochodzenie. Całe duchowieństwo z drobnymi wyjątkami jest ze wsi, z ludu pochodzi i do niego wraca, ale z wyższem wykształceniem i z władzą, pełną uroku. Ułatwia mu to bardzo sytuacyę, łatwo mu wyczuć, w jaki sposób trafić chłopu do przekonania, zwalczyć jego uprzedzenia, łatwo mu wreszcie ocenić, od czego pracę zacząć, w czem chłopu najpierw dopomódz należy. Olbrzymią wprost przewagę nad działaczami z innych sfer daje duchowieństwu zasadniczy pogląd ludu wiejskiego, że ksiądz, jako taki, jest uczciwy i bezinteresowny, zasługuje więc na bezwzględne zaufanie w kwestyach majątkowych (pieniężnych), które są przecież istotą każdego przedsięwzięcia ekonomicznego. Suknia daje już księdzu to, na co każdy inny świecki działacz, wobec zasadniczej nieufności chłopa do wszystkich innych ludzi, musi dopiero zapracować, a bez czego praca jest bardzo utrudniona a nawet wręcz uniemożliwiona, t. j. wiarę w uczciwość i bezinteresowność intencyi“.

„Działalność duchowieństwa na polu podniesienia ludu nie tylko jest w szerokich rozmiarach możliwą, ale jest także bardzo pożądaną i posiada dużo warunków skuteczności. Jest ona przedewszystkiem doskonale zorganizowane i jednolicie wychowane, następnie jest doskonale rozmieszczone po kraju (parafii rzym.-katolickich 876, kapłanów— przeszło 1600, parafii grecko-katolickich 1893, kapłanów blisko 2600). Gdyby więc episkopat, kierujący tą armią, zechciał objąć kierunek pracy ekonomicznej duchowieństwa nad ludem, gdyby przynajmniej popierał je w tym względzie i starał się o należyte przysposobienie go do niej przez uwzględnienie nauk społeczno-ekonomicznych, a zwłaszcza nauki o asocyacyach w programie wykształcenia seminaryjnego, toby ta praca olbrzymia mogła wydać w krótkim czasie rezultaty“.

Przewielebny X. Biskup Pelczar zrozumiał dobrze to wzniosłe znaczenie pracy duchowieństwa nad podniesieniem materyalnem ludu, zakładając przy parafiach „Związki katolicko-społeczne“. Czcigodny arcykapłan przewidział doskonale, że jeżeli tylko duchowieństwo nasze pójdzie z otwartem sercem w lud, jeżeli ujmie w swoje ręce pracę nad podniesieniem jego dobrobytu, to wówczas żadne bezbogi nie znajdą dla siebie gruntu.

Oby śliczna ta i wzniosła myśl spotkała się jak najrychlej z uznaniem całego duchowieństwa!

Jan Kaczak
chłop-rolnik z Dąbrowicy.



„Królik świński“.

Coraz to częściej pojawiają się w prasie codziennej, a zwłaszcza ludowej, artykuły o organizacyi handlu bydłem i trzodą, z których można poznać, że autorami ich są dzisiejsi pośrednicy i że chodzi o bałamutne przedstawienie rzeczy, a tem samem odciągnięcie małego rolnika od jedynie racyonalnego sposobu spieniężania swego dobytku, przez własną organizacyę rolniczą. Rzecz ta wymaga przeto objaśnienia także z drugiej strony.

Jak wiadomo, Galicya cała została przez handlarzy trzody podzielona na okręgi i w każdym okręgu jest t. zw. „królik świński“, który rzeczywiście tak jak król w państwie ściąga podatki, tak on płaci za trzodę cenę taką, jaką uważa za odpowiednią, chowając sute zyski do swej kieszeni. — Niechby się odważył ktoś czy to handlarz z innej okolicy, czy też rzeźnik, przyjechać na targ, należący do rejonu takiego handlarza, celem zakupna trzody, to taką mu skroją kurtę, że z porachowanemi kośćmi wraca do domu, (jak świadczą znane wielokrotnie wypadki pobicia i za tem idące

skargi i procesy). Handlarz taki ma całą gromadę naganiaczy, którzy wyłudzają, czy to z domu, czy też na jarmarku, za bezcen trzodę od nieporadnych rolników. Że przytem w środkach nie przebierają — dowodzą liczne skargi włościan na brutalność i terror ze strony handlarzy na targach małomiasteczkowych.

Dla przeciwdziałania temu wyzyskowi i oburzającym praktykom, utworzono przed rokiem w Galicyi Zachodniej Biuro handlowe Towarzystwa Rolniczego w Krakowie, a w Galicyi Wschodniej Agencyę handlową Towarzystwa gospodarskiego we Lwowie, przy pomocy rządu, który dał na cele organizacyi pewne zasiłki. Organizacye te tworzą po poszczególnych powiatach i okręgach Związki producentów, na których czele stoją sami rolnicy producenci i wysyłają powierzone im sztuki do Wiednia, Pragi, Krakowa, Morawskiej Ostrawy i na inne targi, stosownie do tego, gdzie się spodziewać można lepszego spieniężenia.

Sztuki przeznaczone na sprzedaż, sami gospodarze lub wybrani przez nich mężowie zaufania dostawiają w oznaczonym dniu do stacyi kolejowej, gdzie się je pod kontrolą Związku i Biura handlowego znaczy, numeruje i wydaje poświadczenie dostawy.

Organizacyi nie chodzi o zaprowiantowanie Wiednia w tanie mięso, lecz przedewszystkiem o ochronę interesu producentów, a w dalszym rzędzie także o aprowizacyę większych miast, przedewszystkiem krajowych, w odpowiednią ilość mięsa. Dążeniem organizacyi jest ujęcie całego handlu bydłem i trzodą w swoje ręce, a tem samem normowanie cen odpowiednio do słusznych kosztów produkcyi. Koszta tej obywatelskiej, na żaden zysk nie obliczonej organizacyi, przedstawiają się w porównaniu z kosztami dotychczasowego pośrednictwa, jak następuje:

1) Handlarz lub komisyoner musi objeżdżać lub obchodzić wsie i targi, żyć po restauracyach, aby módz poczynić zakupy, co go naraża na znaczne koszta — czego Organizacya nie czyni; 2) Handlarz i komisyoner musi trzymać cały zastęp zgonników, (pałczarzami zwanych), których wysoko wynagradza — czego Organizacya nie czyni; 3) Organizacya musi bydło i trzodę koleją wysyłać do miejsca zbytu, co też i handlarze robią — tu koszta równają się; 4) Organizacya płaci wagowe, targowe, stajenne, żywienie i inne należytości na targach wielkomiejskich, handlarze to samo — tu koszta równają się; 5) Organizacya płaci na targu koszta sprzedaży, co i handlarze komisyonerom muszą płacić, koszta jednak u komisyenerów są znacznie większe, jak u Organizacyi — tu więc różnica wychodzi na dobro Organizacyi; 6) Organizacya ubezpiecza bydło od wypadku podczas transportu, oraz na wypadek konfiskaty — rolnik płaci premię asekuracyjną. Handlarz odlicza na te straty odpowiednią kwotę, — która ze względu na niebezpieczeństwo strat jest u handlarzy znacznie wyższą, niż w ogólnem ubezpieczeniu u Organizacyi; 7) Rolnik pędzi bydło lub trzodę na targ, traci przy tem cały dzień, a uzyskaną kwotę ma sposobność na targu łatwo wydać, a często i strwonić, — przy pędzeniu do sprzedaży przez Organizacyę traci zaledwie kilka godzin, a często kilku producentów powierza swoje sztuki do transportu na stacyę kolejową mężowi zaufania. — Zapłatę otrzymuje każdy wprost do domu pocztą i nie ma pokus do niepotrzebnych wydatków.

Z tego zestawienia widać, że Organizacya pracuje taniej, niż pośrednicy. Środki na utrzymanie koniecznych funkcyonaryuszy w Centralnem Biurze w Wiedniu i w Biurach krajowych w Galicyi nie idą z kieszeni producentów, lecz z funduszów na te cele przez rząd i kraj umyślnie udzielonych.

To też jeżeli się mówi o stosunku zysku przy sprzedaży handlarzom a Organizacyi, to trzeba przytoczyć, że cały szereg gospodarzy z powiatów Rzeszowskiego, Strzyżowskiego i innych uzyskało przy sprzedaży przez Organizacyę w stosunku do oferowanej ceny miejscowych handlarzy różnice od 10—80 koron na sztuce trzody — czy to nie przekonywujące? Sukces na tem się nie kończy: handlarze płacą dziś w powiatach, gdzie organizacya powstała, ceny o 20% do 30% wyższe niż dawniej, mimo, że ceny obecnie spadły o jakie 10—12 hal. na klgr. żywej wagi trzody. Ładne więc zyski ciągnęli z tego handlarze i pośrednicy, kiedy dziś takie różnice cen płacić mogą. Choćby Organizacya sama ani jednej sztuki nie sprzedała, tylko stała na straży interesu rolników, toby było wielką jej zasługą. Dlatego my rolnicy stać przy niej i bronić się musimy, skoro na wyzysk naszych kieszeni czyha cały zastęp spekulantów.

Zdarza się, że producenci otrzymują ceny niższe przy eksporcie przez Organizacyę; dzieje się to jednak tylko wtedy, gdy sztuka targowana jest przez handlarza z tem przeświadczeniem, ze ten handlarz sztuki nie nabędzie, bo odnośny właściciel zdecydował się sprzedać przez Organizacyę. Wówczas oferuje handlarz umyślnie cenę wyższą od ceny targowej; gospodarz nie sprzedaje, spodziewając się jeszcze wyższej — tymczasem spotyka go zawód. Takie wypadki są jednak rzadkie, a spodziewać się należy, że wkrótce ustaną, bo rolnicy, pouczeni, albo sprzedadzą sztukę handlarzowi, aby on odpokutował za nierzetelne postępowanie, albo wytrwawszy przy sprzedaży przez Organizacyę, nie będą żałowali zysku, podstępnie im ofiarowanego.

Oczywiście ten nowy i nadspodziewanie rozwijający się ruch wśród producentów wychodzi na szkodę pośredników, którzy usiłują go zgnieść i w tym celu chwytają się także fałszywego przedstawienia rzeczy. Obowiązkiem więc naszym ostrzedz wszystkich interesowanych, aby nie dali się bałamucić, lecz opierając się na doświadczeniu własnem i całego szeregu rolników, z ufnością udawali się jak dotąd do Organizacyi i dbając o własny interes, z całą gorliwością wzięli się do wspólnej pracy.

Dziś do pracy na polu Organizacyi handlu bydłem wzięły się, oprócz obu Towarzystw rolniczych, także i Kółka rolnicze oraz niektóre Rady powiatowe i inne korporacye rolnicze. Widać nie jest to rzecz błaha, skoro tyle poważnych czynników upatruje w niej jeden z warunków lepszej przyszłości dla naszego rolnictwa.

A zatem — rolnicy! do dalszej pracy wspólnej a wytrwałej! Cel wytknięty i do niego dążyć będziemy: do wyzwolenia się z sideł nieuczciwego pośrednictwa!

KRONIKA.

Nasze ryciny. Mamy do zanotowania nowy krok w urzeczywistnieniu „latania powietrzem". Oto dotychczas aeroplany — przyrządy do latania cięższe niż powietrze i bez gazu — odbywały tylko wzloty do góry, krążąc po niewielkiej przestrzeni nad terenem prób. — Obecnie zaczęły się już prawdziwe podróże. Dwóch aeronautów we Francyi odbyło podróż z Chalons do Reims, oraz z Tours do Artenay i z powrotem. Nie są to drogi dalekie, lecz z tego nie można wnioskować, aby aeroplan był skazany na zawsze na odbywanie takich krótkich

podróży. Przecież pierwsza linia kolei żelaznej była o wiele krótszą, niż pierwsza podróż aeroplanu!

Wobec tego nasunęło się pytanie: czy aeroplanami będzie się podróżowało szybciej, czy wolniej, niż koleją? Wiadomo, że pociągi pospieszne przebywają od 70 do 100 kilometrów na godzinę. Aeroplan na razie dochodzi tylko do 60, najwyżej do 70, ale ma za to wielką korzyść tę, że nie jest przykuty do szyn, ale może jechać w linii prostej, jak mu się żywnie podoba. Ale mimo to nie zawsze może konkurować z kolejami. Czasem bowiem kolej idzie od jednego miasta do drugiego tak prostą drogą, a jedzie tak szybko, że aeroplan który ma do przebycia tę samą drogę a jedzie wolniej, nie zdąży za pociągiem. Np. z Paryża do Calais jest 230 km., aeroplan potrzebowałby na tę drogę 3 godz. 50 minut, zaś kolej tylko 3 godz. 20 min., czyli o pół godziny mniej. Z Paryża do Wiednia natomiast aeroplan leciałby tylko 16 godzin, zaś kolej jedzie 22. Widzimy, że czasem aeroplan ma szanse zupełnego zwycięstwa nad koleją, czasem kolej pobija aeroplan. Ale pamiętajmy, że szybkość aeroplanu jest dopiero w początkach. Wszyscy inżynierowie twierdzą, że w niedługim czasie aeroplany będą latały z szybkością 120 do 150 klm. na godzinę. Takiej chyżości pociąg nigdy nie osiągnie.

Najważniejszem jest to, że aeroplan nie potrzebuje ani bitej, ani żelaznej drogi. Dzięki temu, gdy go udoskonalą, on jeden umożliwi człowiekowi dostanie się do bieguna północnego. Nansen, słynny podróżnik szwedzki, zbliżył się sankami do bieguna na 420 klm., lecz ten nieduży kawał drogi był nie do przebycia z powodu łamiących się lodów, które mogły lada chwila zmienić się w krę na falach morza. Jeżeli aeroplan podwiezie się do tego punktu, gdzie stanął Nansen, będzie można dostać się do bieguna w sześć godzin, wrócić w drugie sześć. Zdaje się, że podniesienie zasłony, jaka kryje dotychczas tajemnicę bieguna, jest tylko kwestyą czasu.

W Ameryce zdarzyła się dziwna katastrofa. Oto pod miasteczkiem Metz zapaliły się lasy, od których wszczął się pożar domów. Ludzie zaczęli uciekać koleją, aby wydobyć się za obręb płonącego lasu. Tymczasem lokomotywa się popsuła właśnie wśród płomieni, i pogorzelcy, którzy ledwie uszli jednego ognia, omal nie poginęli w drugim. Panika ogarnęła wszystkich, wyskakiwano na łeb na szyję z pociągu, ratując się jak kto mógł. Podobno kilka osób przy tem zginęło, gdyż nie mogło wydostać się na czas z natłoczonych wagonów.

Dymisya bar. Becka. Niemcy obalili gabinet bar. Becka. Następcą jego ma zostać bar. Bienerth, który utworzy prawdopodobnie gabinet urzędniczy, gdyż na parlamentarny nie mogą się jakoś zgodzić stronnictwa. Polacy starają się całą siłą, aby utrzymać ministra dla Galicyi Abrahamowicza i ministra skarbu Korytowskiego na ich ważnych dla kraju posterunkach. Krążą też wieści o rozwiązaniu parlamentu i o nowych wyborach, To by się ucieszyli „ćmiciele“ i nieroby parlamentarne! Mogliby znów okłamywać wyborców i obiecywać im złote góry.

Naganiacze do Prus. Dnia 7. bm. zjawiło się w Rzeszowie 6 robotników, pochodzących z Majdanu, a wracających piechotą z Mysłowic, dokąd ich ściągnął jakiś ajent na robotę, zabrawszy im poprzednio wszystkie dokumenty. Ponieważ nie znalazł dla nich żadnej pracy, więc cichaczem zbiegł ze wszystkiemi dokumentami a biedni ludzie bez grosza przy duszy puścili się piechotą z powrotem do domu.

Przeklęta wódka. Tačka Suprunowa z Ponikowicy, powracając z prażnika w Wysocku w stanie podpitym do domu, zbłądziła w drodze, a zasnąwszy w polu, zamarzła.

Znalezione zwłoki. Na polach gminy Jasienowa pow. horodeńskiego, znaleziono w tych dniach zwłoki Wałysyny Storoszczukowej, włościanki ze Stecowej. Przypuszczają, że śmierć jej nastąpiła wskutek silnego ataku epilepsyi, na którą zmarła cierpiała.

O trafiki. Z Witkowic koło Białej piszą: Kółko rolnicze w Witkowicach w bialskiem wniosło prośbę do dyrekcyi okręgu skarbowego w Wadowicach o przeniesienie trafiki do innego budynku. Na załatwienie prośby czekano około czterech miesięcy. Ale w niespełna 7 dni utworzono u tutejszego karczmarza trafikę, mimo, że we wsi istnieją już dwie trafiki, a wieś nie przekracza 180 numerów. Włościanie zatem zapytują krajową dyrekcję skarbową, czy istnieje w Galicji rozporządzenie min. skarbu z 12 lutego 1908 r. l. 94843/07, które stanowczo wstrzymuje otwieranie nowych trafik? Włościanie żądają rzeczowego wyjaśnienia, inaczej zaapelują tam, skąd to rozporządzenie wyszło.

NIPPON BANZAJ! *)

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW WOJNY ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ

62) (Ciąg dalszy).

— Wiwat owieczka!

— Żyj nam siostro!

— Me-e-e! — zabeczała jej po jagnięcemu nad uchem towarzyszka, rozlokowana wygodnie na kolanach sąsiada z lewej strony.

Alisa nie przestawała uśmiechać się głupkowato i pochylona, jakby złamana w krzyżu, uparcie wpatrywała się w leżący przed nią niedojedzony kęs chleba ze śladami zdrowych zębów na pokrywającem go maśle i z połyskującą jedną ością, pozostałe na nim po śledziu, czy sardynce.

— Śledź, czy sardynka?...

Kwestya ta zdawała się w tej chwili bardzo poważnie ją zajmować.

Przygodny opiekun podsunął jej pod usta nowy kieliszek.

— Wypij, miłosierna siostro!

Wstrząsnęła się, jakby po niej zimny mróz przeszedł — ostatni przebłysk świadomości. Potem leniwym ruchem wzięła mu kieliszek z rąk i wolno wlała sobie w usta jego zawartość.

Ogarnął ją rozelśnionem wejrzeniem i jak przypieczony żelazem, zerwał się z krzesła.

Nie mógł już usiedzieć na miejscu.

— Hej, bracia, dzisiaj nasze! Hurra, niech płomień ogarnie głowę, niech radość życia jak lawina zakipi w żyłach!!

— Hurra!!...

Zabawa zaczęła dochodzić do zenitu. Strzelały korki butelek i pryskały z dźwiękiem bite o podłogę naczynia, tryskały w górę fontanny piennego wina i tryskały jak rakiety wybuchy oszalałego humoru, świeciły się jak żużle rozpalone oczy na połyskujących, czerwonych jak sukno twarzach, kłębił się nad głowami dym tytoniowy, a gorąca atmosfera,

*) „Niech żyje Japonia!“

przesycona odurzającym zapachem rozlanych trunków i oparami rozprażonych ciał ludzkich, wisiała w powietrzu, jak czarna, pełna groźnych niespodzianek chmura.

— Hej, dzisiaj nasze!...

Jeden z oficerów, w koszuli, wyłażącej z pod rozchłestanego munduru, zerwał się raptem i machnąwszy ręką, zaintonował:

„Kto trup, ten z życiem rozbrat weźmie,
„Po śmierci nie skosztuje wina.
„Zadzwońcież dzisiaj pożegnalne czary!...
„Bóg wie, co jutra przyniesie godzina“.

Chór, złożony ze stu głosów, podchwycił, aż dom zatrzeszczał w posadach i płomyki lamp zachwiały się, jak od podmuchu burzy.

Przy drugim końcu stołu jakiś nietowarzyski rycerzyk siedział bezwładnie z opuszczonemi ku podłodze rękami, i zadarłszy ku górze głowę, przymknąwszy oczy, piał wyłącznie dla siebie, dla własnej przyjemności:

Hoc kalina, hoc malina,
W las po jagody chodziła,
Hoc — ka-a-li-na,
Hoc — ma-a-li-na!

Alisa siedziała z twarzą ni to bladą, ni rozczerwienioną, a jakby powleczoną mieszaniną obu tych wykluczających się barw, i jednocześnie jakby dziwnie naraz opuchniętą, rozlaną, i z widoczną sympatyą i zainteresowaniem słuchała jednej ze swych sąsiadek, która, zwaliwszy się fryzowaną głową w jeziorko rozlanego po stole wina, nuciła znów sobie w przerwach między atakami męczącej ją czkawki, pieśń dziewiczą:

Ja u ojca mego w pałacach, w pałacach,
Ja u matki mojej w wysokich, w wysokich...

„Opiekun“ czuwał troskliwie, by w kieliszku Alisy ani na moment wina nie brakło.

Nie patrząc, z oczyma zaokrąglonemi ociężałą bezmyślnością i powleczonemi białą maślaną mgłą, co pewien czas maczała usta, zlepiające się gęstą ciągnącą śliną, i skołczałym językiem zlizywała potem kropelki zdradliwej słodyczy.

Nie czuła już poruszenia ani jednej myśli pod czaszką.

Naraz gdzieś z ciemnego kąta rozległ się, jak skomlenie wieszanego psa, wysoki, rwący gardło i rwący duszę falset:

Ty wyhaftuj mi, matko, sarafan czerwony....

Głos ten na całe towarzystwo podziałał, jak ostry nóż, przecinający wątpłe nici resztek świadomości. (C. d. n.)

CENY ZBOŻA i BYDŁA.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Tow. rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 10 listopada 1908).

Pomimo słabszego notowania w Wiedniu i Peszcie i lepszego zaofiarowania, usposobienie dzisiejszego targu było mocne, chęć kupna dobra, a ceny ustalone, zaczem ilość transakcyi się zwiększyła. Wpływa na to miejscowe większe zapotrzebowanie oraz wiadomości z kraju, donoszące o dalszych klęskach a mianowicie o zamarznięciu niewykopanych buraków oraz zakwestyonowaniu jeszcze dosyć znacznych przestrzeni kartofli zagrożonych mrozem.

Sprzedawano: pszenicę białą od 10·65—11·85 kor., czerwoną od 10·65—11·85 kor., uszkodzoną 9·00 do 10·00 koron, żyto 9·85—10·60 kor., jęczmień 9·00 do 10·00, owies 8·35—8·50 k., kukurudzę starą 9·35 do 9·85 koron, nową 0·00—0·00 koron, kukurudzę Cinquantino 10·20—10·50 kor., groch zwyczajny 12·00 do 12·75 kor., groch Victoria 14·20—15·10, (do siewu) na paszę 00·00—00·00 kor., wykę nową 7·50—8·50 kor., bobik 8·00—8·50 kor., rzepak 14·00—15·50 kor., otręby pszenne 5·60—5·90, otręby żytnie 5·50—5·80, koniczyna nasienna czerwona 00·00—000·00 kor., biała 00·00—00·00, tymotka 00·00—00·00 kor. Wszystko za 50 klgr.

Z miejskiej centralnej targowicy na bydło w Krakowie. Dnia 10 listopada br. spędzono na targ bydła rogatego sztuk: 209, cieląt 267, owiec i kóz 44, nierogacizny 384. Razem 904 zwierząt. Płacono za jeden cetnar metryczny żywej wagi: buhaje od 00·00 do 00·00 kor., woły 00·00 — 00·00 kor., krowy 00·00—00·00 jałownik 00·00—00·00 kor., cielęta 68·00—74·00 k., nierogaciznę tuczną 00·00—00·00 kor., bitej wagi: nierogaciznę 112·00—140·00 kor. Z zakupionych na oko płacono za sztukę: woły z paszy 130·00—210·00 k., krowy 80·00—200·00 kor., buhajki i jałówki 95·00—120·00 kor., cielęta 18·00—55·00 kor., owce i kozy 16·00—20·00 kor., — buhaje 000·00 kor. — Ze spędzonych na targ zwierząt sprzedano sztuk: na miejscową konsumcyę 556, na konsumcyę innych gmin kraju 348, na eksport za granicę kraju bydła rogatego 00, na eksport za granicę kraju nierogacizny 00. Ceny powyższe obliczono bez opłaty akcyzowej.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.

Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.